

Portret prywatny Jarosław Strychar



Jarosław Strychar – doktor nauk medycznych, ortopeda specjalizujący się w dziedzinie chirurgii ręki, pracuje w przychodni przy ul. Na Uboczu 5 oraz przeprowadza operacje w Ursynowskim Centrum Zabiegowym przy ul. Kajakowej 12. Niezwykle optymistyczny, zawsze uśmiechnięty i gotowy nieść pomoc w każdej sytuacji. Gdy przeprowadzałam wywiad, była brzydka pogoda jesienna, wszyscy mieli chandrę, a ja po spotkaniu z doktorem uwierzyłam w jego maksymę „Po co się smucić, skoro można się cieszyć”.

Jak zaczęła się pana współpraca z SPZOZ Warszawa-Ursynów?

Przyszedłem do pracy, kiedy otworzono Ursynowskie Centrum Zabiegowe przy ul. Kajakowej, czyli w 2010 roku. Jednocześnie zacząłem przyjmować pacjentów w poradni ortopedycznej w przychodni przy ul. Na Uboczu.

Zastanawia mnie pana wschodni akcent.

Moi przodkowie mieszkali na Wileńszczyźnie, bo jak wiadomo, kiedyś granice Polski wyglądały inaczej. Ja urodziłem się i wychowałem w Mińsku na Białorusi. Tam ukończyłem studia medyczne i rozpocząłem pracę zawodową. W roku 2001, będąc przewodniczącym Towarzystwa Lekarzy Polskich w Mińsku, na

zaproszenie Naczelnej Izby Lekarskiej przyjechałem do Polski na staż w ramach programu dla lekarzy polskiego pochodzenia ze Wschodu. To był trzymiesięczny staż w Warszawie, potem zostałem zaproszony do Kliniki Chirurgii Ręki w Poznaniu w ramach współpracy naukowej i tam spędziłem dwa lata.

W roku 2003 dostałem się na studia doktoranckie w Klinice Chirurgii Ręki w Szczecinie, podczas których pracowałem na oddziale, pełniłem dyżury urazowe i replantacyjne (przyszywałem palce i ręce). Zdarzało się, że takie operacje trwały całą noc. Dobrałem również w pogotowiu ratunkowym. Po obronie pracy doktorskiej przeprowadziłem się do Warszawy, gdzie kontynuowałem

specjalizację z ortopedii. W tak zwanym międzyczasie odbyłem staż w Lizbonie (Garcia de Orta Hospital) w Portugalii. Następnie z ramienia Europejskiego Towarzystwa Chirurgii Artroskopowej zdobywałem doświadczenie w Chelsea and Westminster Hospital w Londynie. Jako stypendysta Europejskiego Towarzystwa Chirurgii Ręki zostałem zaproszony do Department of Hand Surgery (Helios Kliniken) w Schwerin w Niemczech. Było jeszcze kilka miejsc za granicą (Niemcy, Włochy), gdzie miałem okazję poszerzać swoją wiedzę, aby profesjonalnie zajmować się pacjentami.

Co lekarza-obywatela świata skłoniło, aby na stałe osiąść w Polsce?

Oczywiście kobieta. Właśnie w Poznaniu w 2004 roku poznałem moją żonę, obecnie nauczycielkę nauczania początkowego. Na stałe zamieszkaliśmy w Warszawie na Ursynowie, gdzie urodziły się nasze dzieci – dwóch chłopców, którzy obecnie mają trzynaście i siedem lat.

Biorąc pod uwagę pana doświadczenie zawodowe, sądzę, że poważnie podchodzi pan do swojego zawodu. Były chwile słabości?

Nie przypominam sobie... (*śmiech*) Jak człowiek czegoś naprawdę pragnie, to się nie zastanawia, czy coś mu nie wyjdzie. Zawsze chciałem być lekarzem, odkąd pamiętam. Już w przedszkolu. W szkole podstawowej było mi nawet trochę wstyd, bo żadne z dzieci nawet nie wymieniało tego zawodu. Chciały być kosmonautami, czołgistami, policjantami, strażakami, natomiast mój pomysł na siebie





był niezbyt trendy. Trochę mnie to krępowało, ale jednocześnie mobilizowało do nauki, bo jak wiadomo, było jej sporo. Stryj dziadka był felczerem, ale ja pierwszy w naszej rodzinie zostałem lekarzem.

Chirurgia ręki, którą się zajmuję, to bardzo trudna dziedzina medycyny. Jest na pograniczu kilku specjalizacji: mikrochirurgii, chirurgii naczyniowej, plastycznej, chirurgii ogólnej,

ortopedii. W ręce wszystko jest bardzo małe i trzeba niezwyklej wprawy podczas zabiegu, żeby nie uszkodzić innych jej struktur, takich jak ścięgna, naczynia, nerwy, stawy, kości. Na świecie chirurgia ręki to oddzielna specjalizacja lekarska, w Polsce nie. Jestem chirurgiem ręki, ale mój tytuł medyczny to specjalista ortopedii i traumatologii narządu ruchu.



Jakiej przyszłości zawodowej chciałby pan dla swoich dzieci?

Chciałbym, aby choć jeden z moich synów został lekarzem. Jednak nie będę ich do niczego zmuszał, ponieważ znam osobiście wielu lekarzy, którzy zostali nimi „na siłę”, a wcale nie są pasjonatami zawodu i nie lubią swojej pracy, męczą się. Tego bym dla swoich dzieci nie chciał.

Uważam, że jestem dobrym ojcem. Wiadomo, żona dba o nich na co dzień, ale jeśli

mamy trochę więcej czasu, to staram się poświęcić im całą swoją uwagę. Uczestniczę i wspieram chłopców w ich hobby. Mam tu na myśli szachy i układanie kostki Rubika. Ostatnio byliśmy ze starszym synem w Łukowie na zawodach speedcubing (układanie Kostki Rubika na czas). Młodszy z kolei trenuje judo w Klubie Sportowym Ryś na Ursynowie i też odnosi sukcesy w tej dyscyplinie.

A jaką pan ma pasję?

Kiedy się tak dużo pracuje, to pasją jest odpoczynek. Wyjeżdżamy możliwie często całą rodziną w różne zakątki Polski i świata. Ostatnio byliśmy w Gruzji i jestem oczarowany tamtejszą naturą. Lubię odpoczynek pasywny, bierny, przy książce, kiedy leżę na plaży albo nad jeziorem, czuję, że wypoczywam. Oczywiście przy chłopakach tak się nie da, bo są ciekawi świata, co mnie bardzo cieszy. Jeździmy po okolicy, trochę też zwiedzamy, ale bez przesady. W ciągu roku szkolnego lubimy jeździć na rowerze. Robimy wycieczki po Lesie Kabackim i nad Wisłą.

Moją osobistą pasją jest falerystyka. To dziedzina historii zajmująca się odznaczeniami państwowymi i orderami. Jest to o tyle fascynujące zajęcie, że przy okazji poszukiwań jakiegoś orderu można znaleźć w książkach, w internecie lub archiwach państwowych dużo informacji o danym zdarzeniu, za które przyznawano odznaczenie, i o osobie, która je otrzymała. Każdy oryginalny order, przynajmniej byłego ZSRR, ma numer identyfikacyjny. Wcześniej zajmowałem się numizmatyką oraz filatelistyką, ale jednak falerystyka jest stosunkowo wąską dziedziną, więc dążę do tego, aby poznać historię większości odznaczeń, mieć ich wiele, nawet bardziej cennych. Zobaczymy...

Życzę panu wielu ciekawych okazji i dużo czasu spędzonego z rodziną.

Dziękuję za rozmowę

Anna Dymińska

